Nr. 21. Kraków, Poniedziałek 12 Września 1910. Rok I.

GAZETA PONIEDZIAŁKOWA

wychodzi co tydzień, w Poniedziałek, o godzinie 6-tej rano.

Redakcya i Administracya: Rynek gł. L. 8 (Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara)

Nr. telefonu 627.

Numer pojedynczy 10 h. Do nabycia w ajencyach dzienników.

Ceny prenumeraty:

W Krakowie i na prowincyi:
z odnoszeniem i przesyłką pocztową

Kwartalnie . . . . K 1·50
Półrocznie . . . . K 3·—
Rocznie . . . . . . K 6·—

W Niemczech i w innych państwach Związku poczt.:

Kwartalnie . . . . K 2·—

Rękopisów się nie zwraca.

Ceny ogłoszeń:

Ogłoszenia (inseraty) za 1 wiersz petitowy lub jego miejsce . 20 h.
Nadesłane, wiersz petitowy lub jego miejsce . . . . . . 80 h.
Nekrologi za wiersz petitowy . 60 h.
Doniesienia o ślubach, zaręczynach i t. p. wiadomości po 1 K za wiersz.

Drobne ogłoszenia za wyraz 6 h. najmniej 60 h.

Wyrazy grubszem pismem liczą się podwójnie.

Ostatnie wiadomości.

Parlament ma być zwołany na 8 lub na 17 listopada.

W Bernie na Morawach ma się odbyć dzisiaj zgromadzenie, protestujące przeciw niewykonaniu ustawy o budowie kanałów.

Cholera we Włoszech szerzy się. Zaszło 5 nowych wypadków śmierci.

W Wiedniu rozpoczął się wczoraj międzynarodowy zjazd dla wykształcenia kupieckiego.

W Innsbruku skończył się wczoraj zjazd katolicki.

Król Piotr serbski ma się udać do Rzymu.

Hr. Aehrenthal spotka się w tych dniach z włoskim ministrem spraw zewnętrznych.

Patrz Telegramy.

Poseł German o sytuacyi.

Wywiad z posłem Germanem.

Korzystając z chwilowego pobytu posła Germana w Krakowie, sprawodawca nasz udał się do niego z prośbą o interwiew. Uprzejmy poseł ziemi sandeckiej, który w ostatnich czasach zasłynął jako jeden z najtęższych naszych parlamentarzystów, udzielił sprawozdawcy naszemu garść swoich uwag o obecnej sytuacyi w Kole polskiem i w parlamencie. Uwagi szanownego posła są niezwykle ciekawe i głębokie, sięgają w jądro najważniejszych spraw chwili obecnej, niewątpliwie więc zostaną przez naszych czytelników przyjęte z zaciekawieniem, a nie ulega kwestyi, że odbiją się poważnem echem w całym kraju.

Sprawozdawca nasz zaczął rozmowę od sprawy rozłamu w Kole polskiem, o którym w ostatnich czasach tyle było słychać. Na pytanie, czy rozłam ten rzeczywiście w Kole istnieje, odparł poseł German:

— Nie można zaprzeczyć, że w wielu sprawach aktualnych jak i zapatrywaniu na ogólne położenie między członkami Koła istnieją wielkie różnice, a nadto walka stronnictw, prowadzona od dłuższego czasu z wielką zaciekłością w kraju, odbić się musiała i odbiła w Kole polskiem. Winę tego w równej mierze ponoszą te stronnictwa, które walce politycznej w kraju nadały zbyt namiętny i zaciekły charakter. Nadto zwalczanie programów i działalności usunęło prawie na drugi plan ważniejsze sprawy, wysuwając na plan pierwszy zwalczanie osób.

Cała moja działalność w Kole polskiem dążyła do usunięcia lub przynajmniej złagodzenia tej walki i w tej samej myśli i w tym samym kierunku będę pracował nadal tem swobodniej, że nie jestem już bezpośrednio związany z jednym z walczących stronnictw. Tego samego zdania są ci członkowie Koła, którzy również stoją w pośrodku i na równi ze mną boleją nad rozłamem, utrudniającym pracę parlamentarną i poniżającym powagę Koła, skoro co chwila wiadomości o tych stosunkach przenikają do niektórych zbyt usłużnych dzienników wiedeńskich i krajowych, dochodzą do wiadomości rządu i innych stronnictw i zmniejszają wartość Koła, jako sojusznika lub nieprzyjaciela. To też nie wątpię, że cała ta pośrednia grupa, czy razem zorganizowana czy podzielona na mniejsze części, zajmie się przedewszystkiem złagodzeniem walki, usunięciem rozłamu i zajmie na obie strony stanowisko pośredniczące, wolne od wszelkich uprzedzeń i niechęci.

Ponieważ za najszkodliwszą walkę uważamy zwalczanie osób, przeto i w swoim imieniu i w imieniu bardzo wielu członków Koła, mogę oświadczyć, że nietylko nie zamierzamy nikogo w Kole obalać lub zwalczać, owszem, że wytężymy wszystkie siły, aby poprzeć pracę i dążenia dzisiejszych przywódców Koła.

— Czy to prawda, że nowa grupa w Kole ma tendencye czysto miejskie?

— Nie jest rzeczą zdrową grupowanie w Kole stronnictw podług zawodów lub interesów, skoro całe Koło musi mieć na oku interes całego kraju i sprawy narodowe. Jeżeli jednak w dzisiejszem ugrupowaniu stronnictw przeważa kierunek agrarny, bo i stronnictwo ludowe i rywalizująca z nim po wsiach narodowa demokracya i grupa konserwatywna i grupa p. Kozłowskiego i grupa ks. Stojałowskiego ten kierunek reprezentują t. j. rzeczą naturalną, że demokratyczni posłowie miejscy nie stając wrogo wobec interesów ludności rolniczej, muszą jednak dla równowagi położyć nacisk na ekonomiczne i kulturalne zadania miast. Nie chcę przez to powiedzieć, jakoby tamte stronnictwa chciały działać przeciwko interesom miast, ale jednostronne akcentowanie interesu agrarnego przesuwa na plan drugi troskę o rozwój i potrzebę miast. Dlatego myślę, że nikt posłom miejskim za złe wziąść nie może, jeżeli zwrócą szczególną uwagę na potrzeby miast, które je wysłały. Ale i skład

Paul et Victor Margueritte.

PRZYPŁYW.

— Najgłębsze uczucia — mówił Piotr G... — te nawet, które budzą w nas pewność i zaufanie, są narażone na najrozmaitsze ciosy. Ha, szczęściem są one rzadkie.

Znacie moje przywiązanie do Łucyi; na wyrażenie mojej miłości nie dość powiedzieć, że ją kocham jako moją żonę. W tej wielkiej i gwałtownej namiętności mieści się wszystko. Nietylko nigdy jej nie zdradziłem, ale nawet nie dopuszczałem tej myśli, tak jestem z góry pewien, że żadna inna nie dałaby mi szczęścia zupełnego i doskonałego.

A jednak nadszedł raz dzień, godzina w mem życiu, kiedy zachwiała się cała podstawa mego istnienia, myśli i czynu, kiedy niebezpieczeństwo zagrażało mej egzystencyi, a w następstwie i jej, kiedy pewność szczęścia, przyszłość jasna i pomyślna, jaka nas czekała, dobrobyt naturalny, praca i nadzieja, wszystko to omal nie zostało zniszczone, zepchnięte w chaos duszy, omal nie utonęło w zawrotnej fali.

Oto pewnego dnia, jadąc z Łucyą na wycieczkę do Rouen, dowiedzieliśmy się nagle z rozmowy prowadzonej przy stole, że nazajutrz oczekiwano przypływu *). Pojechaliśmy więc do Candebec, by obejrzeć, jak Sekwana zmienia swój nieprzezwyciężony bieg. Zjawisko to miało ukazać się wieczorem, ale Łucya, znużona podróżą, wolała pozostać w domu. Widziała już raz przypływ na Garonie, zjawisko więc to nie przedstawiało dla niej nic ciekawego.

O pół do dziewiątej służba hotelowa przyszła nas uprzedzić, że za kwadrans fala uderzy. Nie wiem, jakim przeczuciem wiedziony, wzdrygałem się opuścić Łucyę; jej gorączka wzmagała się, a wprost dziecinne zdenerwowanie wywołało łzy w jej pięknych oczach. Zdawało się, że ulega także jakiejś tajemniczej przestrodze.

Napominała mnie, bym się nie zbliżał zbytnio do brzegu; niekiedy bowiem olbrzymia fala, bryzgając pianą, zalewała wodą łąki, topiąc barki w nurtach rzeki. Wreszcie, jakby się wstydząc swej bojaźliwości, wyprawiła mnie szybko na obejrzenie przypływu.

*) „Ulascaret". Ciekawe zjawisko przyrody, obserwowane raz do roku przy ujściu Sekwany. W dniu tym niezwykle silny przypływ morza pędzi fale z tak wielką siłą w ujście rzeki, że przez parę godzin nadaje jej biegowi przeciwny kierunek.

Miał to być widok ciekawy, wart trudu. Żałowałaby, gdybyśmy tu przybyli nadaremnie.

Chwyciłem pospiesznie kapelusz, a Łucya, przypominając raz jeszcze swoje przestrogi, uścisnęła mię z serdeczną namiętnością, której niesłychaną rozkosz potem dopiero odczułem. Pobiegłem nad brzeg; noc była księżycowa. Rzeka płynęła szerokiem korytem, jasna od strony Rouen, przyćmiona od strony morza. Na przeciwległym brzegu widniały zarysy drzew pogrążonych w cieniu.

W gronie kilku mieszkańców wsi, malarzy ze swemi modelkami i dwóch lub trzech reporterów, spostrzegłem smukłą, wysoką postać idącą od strony tamy na rzece. Księżyc oświecał jej piękny profil. Poznałem w niej naszą sąsiadkę z hotelu; cudzoziemka pewnie jakaś awanturnica — pomyślałem. — Cały czas jednak podczas obiadu intrygowała mię swą osobą, a nawet zakłóciła spokój, dziwne robiąc wrażenie swym wdziękiem subtelnym, a przytem napełniającym obawą, pogardą chłodną, łaknącą jednakże spojrzeń. Towarzyszył jej mężczyzna 60-letni, klasyczny typ pięknego starca.

Zatrzymała się nad brzegiem spokojnie płynącej wody; łódź ciemna zbliżyła się, kierowana wprawną ręką starego rybaka.

— Spieszcie się — wołała niecierpliwie.

i dotychczasowa działalność reprezentantów miast, dają chyba gwarancyę, że będą oni zawsze mieli na oku zadania i cele ogólne i nie dadzą się zepchnąć na stanowisko reprezentantów jednostronnych stanowych interesów.

— Jak się Pan poseł zapatruje na reformę regulaminu Izby posłów?

— Powitaliśmy wszyscy w grudniu w r. z. z radością myśl reformy regulaminu Izby posłów i każdy z nas uczynił wszystko, co w jego mocy, aby doprowadzić do skutku przynajmniej znaną prowizoryczną reformę regulaminu. Przypominaliśmy od początku bieżącego roku potrzebę dalszej pracy w tym kierunku, ubolewaliśmy, że komisya regulaminowa nie rozpoczęła swej pracy dotychczas i pragniemy gorąco, aby stała zmiana regulaminu, umożliwiająca regularny tok obrad w Izbie i komisyach, przyszła do skutku. Jeżeliby to mimo naszych gorących pragnień nie dało się osiągnąć przez opór innych stronnictw, będziemy się domagali przynajmniej przedłużenia teraźniejszego prowizoryum. Bezwładność i bezczynność parlamentu tak w ciągu ostatnich lat kuryalnej Izby jak i przez ubiegłe 3 lata zamąciła pojęcia polityczne, podniosła znaczenie rządu, poniżyła wolę ludów, zdemoralizowała opinię publiczną tak, że pierwszym warunkiem uzdrowienia stosunków jest umożliwienie owocnych obrad.

— Jak się pan poseł zapatruje na działalność zebrać się mającego Sejmu?

Pos. German uśmiechnął się znacząco: — Na razie mówić o Sejmie byłoby zbytecznem, tworzenie horoskopów przedwczesnem. Obecnie inne sprawy stoją na pierwszym planie.

Na tem zakończył swoją rozmowę z posłem Germanem. Z.

„On revient toujours..."

Piszą nam z Wiednia:

Ilekroć się okaże, że nie ma już wogóle żadnego wyjścia z błędnego koła naszej wewnętrznej polityki, wracamy do niemiecko-czeskiej akcyi ugodowej... Wracamy do niej z uporem maniaków, choć z beznadziejnością bankrutów... Nie było w ostatnich latach w Austryi prezydenta ministrów, który nie byłby się pokusił o laury doprowadzenia do skutku ugody niemiecko-czeskiej, nie było ministra, któryby ostatecznie nie zrezygnował ze swej godności z tem przeświadczeniem, że „prędzej w źródle wyschnie woda", zanim nastąpi załatwienie kwestyi niemiecko-czeskiej w drodze ugody. A jednak: „on revient toujours"... Jak już nie ma jednego wyjścia, wtedy zapomina się o wszystkich naukach przeszłości, o wszystkich niepowodzeniach minionych prób, o wszystkich zawodach i niepowodzeniach poprzedników i znów zwołuje się konferencyę ugodową niemiecko-czeską.

Znalazł się w tem położeniu także obecny prezydent ministrów, baron Bienerth. Już przedtem próbował i on niejednokrotnie zdobyć sobie drogę do parlamentu austryackiego przez Sejm czeski, ale czynił to niejako oficyalnie. Nie zwoływał właściwej „konferencyi" ugodowej, tylko uciekał się zawsze do nieobowiązujących (unverbindlich) pertraktacyj. Tym razem, kiedy to kwestya uruchomienia Sejmu czeskiego ze względu na opłakane stosunki finansowe kraju stała się sprawą piekącą, zmienił taktykę, bo oto całkiem oficyalnie zwołał do Pragi konferencyę przedstawicieli obu narodów, zamieszkujących Czechy, przyczem słusznie osądzając sytuacyę, sam usunął się niejako na drugi plan, bo osobiście nie weźmie udziału w naradach praskich i tylko poprzednio odbył szereg konferencyj z niemieckimi i czeskimi przywódcami. Snać, nauczony doświadczeniem, niedowierza konferencyom ugodowym, odbywającym się pod oficyalną egidą rządu.

A czy im dowierza wogóle? Nie ma powodu posądzać barona Bienertha o to, że inscenizuje wielką „szopę" i że z góry przekonany jest o bezowocności całej akcyi ugodowej, którą co prawda, we wszystkich niemal kołach politycznych z bardzo skromnemi witają nadziejami. Przeciwnie, w dobrze poinformowanych kołach rządowych zapewniają powszechnie i z wielkim naciskiem, że baron Bienerth dość optymistycznie zapatruje się na sytuacyę i dalekim jest od insynuowanego mu z niektórych stron stanowiska, że należy uczynić co można, aby zachować „pozory"... Ale mimo wszystko ogólny nastrój bynajmniej nie przedstawia się korzystnie.

Jak wiadomo, w ubiegłym tygodniu bawił w Wiedniu wiceprezes Koła polskiego, pan Stapiński, który podobno miał sposobność, dokładnie poinformować się w kołach decydujących o widokach konferencyj, mających się odbyć w Pradze. Wszyscy, klórzy rozmawiali z p. Stapińskim, twierdzą zgodnie, że właściwie niema mowy o jakichś „widokach" tej akcyi. Rząd ludzi się może jeszcze na razie co do jej wyników, ale równocześnie bardzo seryo liczy się już dziś z koniecznością rozwiązania Izby posłów. W każdym razie zwoła parlament na listopad — więc bez względu na to, czy uda się uchronić sejm czeski czy też nie, —, ale zdaje się, że będziemy mieli w zimie nowe wybory. Cała konferencya praska zredukuje się prawdopodobnie znów do czczej walki o formułkę, dotyczącą porządku obrad w sejmie czeskim, a potem... Potem okazuje się, że bez sejmu czeskiego nie może podźwignąć się parlament austryacki.

On revient toujours... Wracamy ciągle w pewnych odstępach czasu do akcyi ugodowej niemiecko-czeskiej. Nie pierwszy to raz zasiadają Niemcy i Czesi do obrad politycznych, dotyczących ugody, i nie ostatni... Nie łudźmy się niepotrzebnie! *Spectator.*

Program — odwrotowy...

W środę w południe, na uroczystem posiedzeniu krakowskiej Rady miejskiej, wśród zieleni i wobec rzekomo „przepełnionej galeryi" — Dr. Juliusz Leo, wybrany ponownie prezydentem miasta Krakowa, ślubował mu wierność na dalsze lat sześć. Jak zwykle po takim akcie — tak i w tym wypadku nowo wybrany i zaprzysiężony wygłosił dłuższą mówkę o charakterze niby to programowym.

Taką widocznie — według intencyi Dra Lea — środowa jego mówka być miała; że zaś wywarła wręcz przeciwne wrażenie, to już rzecz inna, od jego intencyi niezależna...

Ubolewać przytem należy, że wierni poddani nowego „władcy" podwawelskiego grodu — którzy nie należą do Rady miejskiej, ani na owej „przepełnionej" galeryi w tym dniu uroczystym nie byli, mowy tej w całości nie usłyszeli. Dwa wielkie organa miejscowej prasy, zarówno magistracki, jak i antimagistracki, przemilczały bowiem, jak gdyby były z sobą w zmowie, cały długi pierwszy ustęp tej pamiętnej enuncyacyi. Szkoda to niepowetowana, bo ustęp ten lepiej, niż — cała sześcioletnia jego działalność na stolcu prezydyalnym, odsłonił tajniki duszy „twórcy" wielkiego Krakowa.

W ustępie tym głowa „stolicy Piastów i Jagiellonów, serca Polski", miasta, które kiedyś wolnem było, korzyła się w prochu przed osobistą i urzę-

I zwracając się w moją stronę rzekła:

— Jeśli ma pan ochotę towarzyszyć mi, to proszę, jest jedno miejsce. Jadę naprzeciw fali.

Wokoło nas rozległ się szmer zdziwienia: toż to szaleństwo! Narażać życie, na co? Byłże to kaprys czy też żądza wrażeń? Powołano się na rybaka; ten jednak, obyty z niebezpieczeństwem, a zapewne i suto zapłacony, by dogodzić fantazyi, spuścił głowę bez odpowiedzi. Szalona kobieta powtarzała wciąż głośniej:

— Jest jeszcze jedno miejsce, czy to nikogo nie nęci?

Tym razem nie zwracała się już w moją stronę, przypisując moje milczenie nędznemu tchórzostwu, co czułem w jej głosie. Co się wówczas we mnie działo? Jaki obudził się pociąg do tej mi obcej kobiety, do niebezpieczeństwa dotąd nieznanego? Skąd ta chęć gwałtowna okazania jej, że jestem równie lekkomyślny, jak ona? Czemu w tej chwili nie myślałem zupełnie o Łucyi, jakby dla mnie nigdy nie istniała? Dotąd nie umiem sobie tego wytłumaczyć, wiem jeno, że wśród szmeru oburzenia i szyderczego śmiechu znalazłem się w łodzi, vis-a-vis mej sąsiadki. Jej zagadkowy wyraz twarzy, przed chwilą tak ostry, rozjaśnił się; poddałem się mocy jej uroku bez wyrzutów sumienia.

Nie mogę powiedzieć, bym tę kobietę kochał, nie, czułem się tylko szczęśliwy, upojony jej widokiem, wpatrzony w jej piękne oczy, co wydawało mi się tak naturalnem, jak w śnie, gdzie najpotworniejsze niedorzeczności i szaleństwa przyoblekają się w kształt rzeczywistości.

Nagle, odwracając się, mówi:

— Słyszy pan?

Następnie:

— Widzi pan?... o, tam!...

Wtem dał się słyszeć głuchy łoskot i fala morskiej piany z całą szybkością pędziła w naszą stronę. Rosła tak, że w parę sekund uderzył olbrzymi bałwan, porywając nas ze sobą jak źdźbło słomki. Zdawało się, że toniemy, uniesieni tym porywem huraganu, podczas gdy wokoło nas rozpętane żywioły uderzały z wściekłością o brzegi, rozbijając się o wystającą krawędź skalistą, zalewając i porywając wszystko po drodze.

Wówczas jej chłodne ręce pochwyciły moje; rzewne uczucie ogarnęło mnie na widok tej podnieconej kobiety, wołającej z uśmiechem:

Oto jest! jest... nareszcie!...

Nasza łódź zdawała się płynąć prostopadle: wspinaliśmy się wzdłuż fal olbrzymich, które z łoskotem o siebie uderzały; nurzaliśmy się w przepaści. Rzeka wezbrała tak gwałtownie, że zdawała się z brzegów występować, gwałtowne kołysanie się fal osłabło jednak, a groźna fala minęła nas, pędząc w dal i zalewając brzegi pianą.

Powracaliśmy wolno, a wody tak przybywało, że zaledwie zdołaliśmy się zbliżyć do brzegu. Tym razem ciekawi widze szmerem pochlebstw witali mą towarzyszkę; słyszałem, jak chwalono moją i jej odwagę! powodzenie usprawiedliwiało czyn lekkomyślny.

Szliśmy w milczeniu; przed samym hotelem rzekła:

— Musi pan jednak przyznać, że zawdzięcza mi pan wrażenia, które na zawsze zostaną w pamięci.

Milczeniem potwierdziłem.

Nazajutrz rano obudziłem się późno. Moja towarzyszka odjechała. Popadłem w rozpacz, odchodziłem od zmysłów, wściekłość we mnie kipiała.

Z biegiem czasu duch mój wrócił do pierwotnego stanu. Spokój mój i serdeczność Łucyi zapewniły mi znowu trwałe szczęście. Dni i lata płynęły jak rzeka, wolno i spokojnie, a niebo, obłoki i wzgórza uformowały jasny horyzont nad nami.

Natrafić raz w życiu na przypływ — wystarczy.

dową „dostojnością“ c. k. starosty krakowskiego alias delegata Namiestnictwa i pełnemi bizantynizmu słowami sławiła jego zasługi około dobra miasta i ogromną, prawdziwie „dostojną“ jego życzliwość dla wszelakich spraw miejskich.

Mniejsza już o to, że czołobitność ta przypominała żywo podobne akty i przemówienia burmistrza z... Pipidówki lub nawrócenie się pogromcy ministra z „Blagierów politycznych“; gorsze to, że aż nadto wyraźnie zdradzała także wielką, jak się zdaje... tęsknotę naszej „głowy“ miasta — za podobną, jeno może nieco wyższą jeszcze c. k. dostojnością urzędową...

Po tym akcie pokory nastąpił akt hymnu tryumfu i radości z powodu wspaniałego udania się obchodu grunwaldzkiego. Tego już magistrackie i antimagistrackie organy wiernemu ludowi nie zataiły. Zapomniały tylko w nawiasie przypomnieć ogromne „zasługi“ pana prezydenta około udania się tego obchodu, owo krępowanie do ostatniej chwili całej akcyi obchodowej, ową kamienną iście obojętność, z jaką spoglądał on na wszelkie w tym kierunku wysiłki prywatnej inicyatywy.

Lecz że obchód się udał mimo to, zatem zasługa to Dra Lea — przynajmniej w jego własnem, w takich razach bardzo bujnem mniemaniu. — Na niego też spadł owa wielka chwała, jaką obchodem tym okrył się Kraków, on w całej pełni odczuł nagle całą odpowiedzialność i wysoką godność powierzonego sobie stanowiska! Tak nas sam przynajmniej zapewnił w swej środowej mowie, a trudno przecie tak „dostojnej“ osobie nie wierzyć.

Potem zaś na nowo wybrany i na nowo zaprzysiężony prezydent, wyłuszczał nam po kolei, co zdziałał dotychczas, czego zdziałać nie zdołał i — co miasto — może już bez niego — zdziałać powinno w przyszłości.

Więc nasamprzód przywrócił on miastu równowagę w budżecie i oparł go na takiej podstawie silnej, iż nawet bramy piekielne wstrząsnąć nim nie zdołają. Wprawdzie wielu poważnych znawców miejskich spraw budżetowych o tej równowadze nieco inne ma zdanie, a nawet „nowi nasi współobywatele“ wiedzą, że owa niewzruszona podstawa da na razie jeszcze tylko nowe kolosalne długi miejskie, lecz któżby w tak uroczystej chwili chciał brać w rachubę takie drobne „nieścisłości“!

„Furda“ to wobec innych zdobyczy p. prezydenta, np. regulacyi Rudawy i stworzenia Wielkiego Krakowa!

Na tem co prawda on sam wyczerpał długi szereg swoich zasług, już około miasta położonych — lecz cóż to znaczy wobec jeszcze dłuższego, które nas dopiero czekają w przyszłości! Więc mamy już przypuszczenie, że minister skarbu kiedyś przedłoży parlamentowi ustawę o ulgach akcyzowych dla Krakowa. Błogie skutki tych ulg przedstawił nam p. prezydent w tak ponętnych kolorach, że zdawało się słuchającym, jakobyśmy już, już je posiadali. A dalej mamy dostać nowe linie tramwajowe po umiastowieniu tego przedsiębiorstwa, ulepszenie kanalizacyi wraz z nowym kolektorem, nowy statut miejski oraz inne piękne rzeczy. Co się zaś tyczy „jeszcze większego“ Krakowa, to lada chwila stanie się faktem i to marzenie, ponieważ nasi współobywatele podgórscy nie mogą już pohamować pragnienia jak najrychlejszego rzucenia się nam w objęcia, a pod stopy pana prezydenta...

Takie oto będą zasługi jego w przyszłości, więc cieszmy się na razie nadzieją i przyjemnymi widokami. Wprawdzie, jak raczył nam oznajmić, najważniejsza dla Krakowa sprawa — sprawa kanału — w bardzo niepomyślnem znajduje się stadyum — lecz to już nie jego wina, jeno wina posłów i „dostojnego“ c. k. rządu.

Kto wie, może i to dobrodziejstwo spadnie na nas jeszcze z ręki dzisiejszego pana prezydenta, tylko już nie z prezydyalnej jego dłoni. Któż bowiem zaręczyć może, że usnąwszy wieczorem pod czujną strażą jego „ojcowskiego“ oka — nie obudzimy się nazajutrz wśród bolesnego bezkrólewia — dowiadując się, że „on“, który tak cenić umie dostojność c. k. dygnitarstw — sam w ciągu nocy stał się takimże dygnitarzem w Wiedniu?

Bądźmy szczerzy... ta środowa mowa programowa sprawiła na nas wprost takie wrażenie, jakoby była raczej mową pożegnalną, niż inauguracyjną. Coś w niej dźwięczało tak, jakoby miała nas przygotować na rozmaite niespodzianki, jakoby on sam chciał nam powiedzieć: to ja zrobiłem dla was, resztę zróbcie sobie sami, gdy mnie już nie będzie — mnie zaś szukajcie wtedy na jeszcze wyższej wyżynie!

Może to mylne złudzenie, lecz jakoś pozbyć się go nie możemy! *X.*

Teatry w Krakowie.

W sprawie upadku sceny miejskiej i ludowej.

Słowa: „teatr krakowski“ mają swoje odrębne, wielkie znaczenie. Kraków jest tem miastem w Polsce, które w ostatnich lat dziesiątkach skupiło w sobie wszystkie promienie narodowej kultury tak, że stało się świątynią sztuki i nauki, świątynią myśli polskiej, polskiemi Atenami. W tem leży wielkie znaczenie krakowskich teatrów, jako czynników kulturalnych, a przedewszystkiem znaczenie teatru miejskiego. Na scenie miejskiej krakowskiej rozgrywa się akcya jednego z największych dzieł Wyspiańskiego, akcya „Wyzwolenia“. Wyspiański zaznaczył tem najdobitniej, jak zaznaczyć można, że scena ta ma i powinna być świątnicą wielkich myśli i wielkich przeżyć narodowej duszy. Aby się nią stać mogła, powinna przodować wszystkim innym scenom, nie mającym takiego pola do rozwoju, a powinna przodować pod każdym względem, więc tak pod względem repertuaru i stylu przedstawień, jak i pod względem artystycznego poziomu personalu aktorskiego.

W mniejszym zakresie odnosi się to samo do sceny ludowej w Krakowie.

Ze smutkiem, ze szczerym smutkiem przyznać musimy, że ani teatr miejski, ani teatr ludowy pod dyrekcyą E. Rygiera, nie stoi na wysokości swego zadania. W ostatnich miesiącach obie te sceny stały się przystanią miernoty artystycznej tak, że o wielkiem, ideowem ich znaczeniu mowy być dzisiaj nie może. Jedna i druga scena znajduje się w ręku przedsiębiorców, a przez to samo stała się nie świątynią sztuki, ale interesem kupieckim, na którym przedsiębiorcy robią interesy bez względu na to, czy ich praca znaczenie tych scen obniża, czy je wogóle sprowadza do zera. Fakt to niesłychanie przykry, ale fakt.

Przyjrzyjmy się każdej z tych scen z osobna.

Teatr miejski.

Lat temu właśnie mija sześć, jak mniej więcej o tym samym czasie rozpoczęła się w całej niemal prasie krakowskiej niesłychana, w swoim rodzaju jedyna, w artystycznych stosunkach niezwykła, bo rewolwerowo - brukowo - ordynarna nagonka na dyrektora teatru miejskiego, p. Józefa Kotarbińskiego. Zarzucono mu brak wykształcenia literacko - artystycznego, brak zdolności, zbytnie oszczędzanie i robienie interesów na teatrze, brak sił aktorskich, słaby personal i Bóg nie wie, co jeszcze. W rok potem ta sama prasa krakowska powitała pochwalnymi hymnami objęcie dyrekcyi teatru miejskiego przez dyrektora Solskiego. Po nim spodziewano się, że z tej sceny krakowskiej, rzekomo tak strasznie przez dyrektora Kotarbińskiego zrujnowanej, podcięciej i przywiedzionej do upadku, zrobi napowrót scenę wielką, naprawdę pierwszą scenę w Polsce. Jak zajadle i bez miary plwano przedtem na Kotarbińskiego, tak zaciekle i bez miary cieszono się z tego, że dyrektorem został artysta z Bożej łaski, p. Solski.

Tymczasem nadzieje te — zawiodły w zupełności.

Kiedy dzisiaj, po pięciu latach dyrektorskiej działalności p. Solskiego, przyglądniemy się tej krakowskiej scenie, którą on miał rzekomo tak niesłychanie podnieść, musimy z bólem serca wyznać sami przed sobą, że dzisiaj teatr miejski stoi o całe niebo niżej od teatru z czasów Kotarbińskiego. Dzisiaj każdy, naprawdę tę scenę miłujący człowiek, czuje doskonale, że teatr miejski dzisiejszy ani pod względem repertuaru, ani pod względem sił artystycznych nie dorósł do pięt teatrowi poprzedniej dyrekcyi.

Kotarbiński uczynił naprawdę ze sceny krakowskiej scenę narodową w wielkiem tego słowa znaczeniu. On pierwszy wprowadził na scenę Mickiewicza, Słowackiego (niemal wszystkie dramaty), Krasińskiego, a wreszcie Wyspiańskiego. Personal artystyczny był za jego dyrekcyi ostatnim w Krakowie naprawdę świetnym zespołem aktorskim, w którym nie brakło sił pierwszorzędnych, z Bożej łaski.

Co zrobił p. Solski?

Przedewszystkiem dla sztuki narodowej nie zrobił zgoła nic. Nie tylko nie pielęgnował tradycyi i nie wprowadzał w czyn pięknych i bądź co bądź uznania godnych usiłowań swego poprzednika, ale nie postarał się nawet o to, by dzieła największego ze współczesnych poetów, by jego wszystkie dzieła przyoblec w szaty sceniczne. Wyspiański już umarł, a jeszcze na scenie krakowskiej nie widzieliśmy ani „Legendy“, ani „Legionu“, ani „Powrotu Odyssa“, ani „Akropolis“. A to przecie rzeczy, specyalnie na scenę pisane, rzeczy, które Wyspiański pisał, mając przed oczyma scenę krakowską. Trudno, na wystawienie tych rzeczy trzeba było wyłożyć trochę pieniędzy, trzeba było zaryzykować kilkanaście tysięcy koron (ryzyko zresztą nie wielkie), a dyrektor Solski na to się zdobyć nie mógł. On chciał na teatrze zrobić interes, zrobił go, o czem świadczy bodaj kamieniczka, za marnych pięć lat „pracy dla sztuki“ kupiona, ale o poziom tej sceny starać się nie chciał. Poza solidnem wystawieniem dwóch bardzo kasowych sztuk Nowaczyńskiego i „Nocy listopadowej“, na scenie krakowskiej nie pojawiła się ani jedna rzecz nowa z wielkiego repertuaru naszej narodowej literatury. Dyrektor Solski nie chciał publiczności nużyć (?) rzeczami poważnemi, wiedział, że publiczność woli się śmiać, niż myśleć i czuć, więc też zwinął ideową chorągiewkę krakowskiej sceny, rzucił ją w kąt, a zaczął wystawiać głównie francuskie i niemieckie fabrykaty komedyowe, głupie, bez sensu, ale pieprzne i niby dowcipne. I ten stan trwa do dziś dnia. Doszło do tego, że wystawia się rzeczy najmarniejsze, byle były „komedyami“ i obcego wyrobu, że wskutek tego odcięło się w zupełności niemal od sceny twórczość polską tak, że sztuki polskie, pisane przez współczesnych autorów, a wystawione przez dyrektora Solskiego, możnaby wyliczyć na palcach.

Literatura nasza znajduje się dzisiaj na niezwykle wysokim poziomie, literatura dramatyczna chroma. Ale w tem niema nic dziwnego. U nas dzięki pieniężnym aspiracyom przedsiębiorcy wystawi się raczej dziesięć sztuk obcych, niemiłosiernie głupich i bez cienia wartości literackiej („Na kwaterze“ itd.), aniżeli jedną sztukę polską, słabszą, choć absolutnie lepszą od owych fabrykatów. Nie stajemy tu bynajmniej w obronie grafomanów, którzy dyrekcyę zasyłają setkami swoich „dramatów“, „komedyj“, ale stwierdzamy, że kancelarya teatru, względnie p. dyrektor, odrzucił niejedną sztukę polską, choćby młodego, nieznanego autora, sztukę lepszą stokroć od wystawianych po kilka razy elaboratów rozmaitych dostawców komedyjek dla przedmiejskich teatrzyków Paryża lub Berlina. Po części winna temu i prasa krakowska, względnie krakowscy recenzenci, którzy każdą rzecz polską nicują do ostatniej nitki, ale patrzą przez palce na najgłupsze wyroby „sztuki“ z zagranicy, dlatego tylko, że na nich jest marka francuska lub pruska. Tak, ale też niżej stojącej krytyki teatralnej, jak w Krakowie, niema w żadnej Abderze na świecie.

Ideowa działalność p. Solskiego przedstawia się więc jako ogromne minus. Komedye francuskie, farsy niemieckie wypełniają większą część wieczorów w sezonie teatralnym i to w tym teatrze, na którym przecie widnieje napis: Kraków — narodowej sztuce. Winna temu zachłanność dyrekcyi na grosz, chęć zarabiania na teatrze, który ma spełniać wielką misyę kulturną w Narodzie.

Pod względem personalu sprawa przedstawia się jeszcze gorzej. Za dyrekcyi p. Solskiego krakowska scena straciła Mrozowską, Zelwerowicza, Mielewskiego, Siemaszkową i cały szereg innych wybitnych sił. W tym sezonie ubyła jeszcze jedna naprawdę wielka artystka p. Solska i p. Sulima. W miejsce ich za-

angażowano z pół tuzina uczenic warszawskiej szkoły aplikacyjnej i p. Młodziejowską. Wszystko to siły młode stosunkowo, bez rutyny i bez większych zdolności, tak, że faktycznie scena została bez artystki do ról salonowo-konwersacyjnych, bez artystki, którąby mogła choć w części zastąpić p. Solską. Czyżby wogóle brakowało artystów i artystek? Nie! Małoż to jest wybitnych sił na innych scenach? Tak, są, ale siły trzeba porządnie płacić, na to zaś dyrekcya niema pieniędzy.

Sezon obecny zaczął się więc pod znakiem zupełnego upadku sceny miejskiej. Zobaczycie, szanowni Czytelnicy, że po roku, w czerwcu, gdy wyliczymy sztuki wystawione, przekonacie się sami, że będą to: w dwóch trzecich komedye i farsy przeważnie francuskie lub niemieckie, a resztę stanowić będą, dodane przecie na okrasę, rzeczy poważne w odpowiednie narodowe święta oraz najwyżej 10 rzeczy nowych, z tego znów najwyżej dwie polskie, reszta obce. Nie będzie to jednak przeszkadzało sekretarzowi hr. Tarnowskiego, prof. drowi Flachowi do przedłożenia Radzie miejskiej sprawozdania, że — teatr rozwijał się świetnie i pod względem artystycznym stanął co najmniej na Rheinhardtowskich wyżynach.

B r a k s i ł w y b i t n y c h w p e r s o n a l u, spowodowany oszczędnościową gospodarką, s p a c z e n i e w y s o k i e g o p o z i o m u k r a k o w s k i e j s c e n y przez z a p y c h a n i e r e p e r t u a r u g ł u p i m i i b e z w a r t o ś c i o w y m i f a r s a m i o b c e g o „w y r o b u“, n i e d b a ł o ś ć o s z t u k ę w s p ó ł c z e s n ą p o l s k ą — oto przyczyny upadku tej sceny miejskiej, na której deskach nieśmiertelny twórca „Wesela“ budował — „teatr polski, teatr Nowy“.

Tak się przedstawia jedna scena, na której ciążą największe obowiązki.

Druga scena, teatr ludowy, znajduje się dzisiaj jeszcze w gorszym stanie, tak, że o jej znaczeniu jakiemś kulturalnem mowy być nie może. Dyrektor Rygier, który, znany jako wybitny artysta, zapowiadał podniesienie ludowej sceny do należnego jej poziomu, założył sobie ręce za pas, zamknął się w kasie, o sztukę nie dba zupełnie, dba tylko o kasę, o pieniądze. Artystyczny poziom przedstawień jest dla niego niczem; jemu chodzi tylko wyłącznie o robienie interesu. Wskutek tego scena ludowa w Krakowie stała się poprostu mówiąc z niemiecka „szmirą“. Obszernie omówimy działalność tej sceny i przyczyny upadku w następnym numerze. *Mundek.*

Wstrętna rozpusta we Lwowie.

Żaden z porządnych obywateli miasta Lwowa nie wie, jakie sceny rozgrywają się nieraz wśród nocnej ciszy miasta, pogrążouego w spoczynku. Wszyscy wiedzą, że nietylko odleglejsze ulice miejskie, nie tylko ciemne zaułki i nory roją się od nocnych ptaków, które nie sieją, nie orzą, ale gospodarują nożem lub wytrychem; wszakże już o zmroku nawet aleje Wysokiego zamku stają się niebezpieczne, a w śródmieściu położony ogród Jezuitów jest nieraz widownią scen krwawych i dzikich. Co się jednak może dziać za miastem, da się wywnioskować choćby tylko z skutków ostatniej obławy policyjnej w okolicy stryjskiego parku i stryjskiego cmentarza. Wyniki tej obławy nie zostały podane do publicznej wiadomości ze względu na to, że mogłyby skompromitować nazwiska, znane ludziom jako uczciwe i zacne...

Wywołanie skandalu nie leży w naszych zamiarach. Trzeba by wejść głębiej w pobudki pewnych czynów, warunki wychowania, poziom etyczny... Prostytuowanie się dziewcząt z dobrych nieraz domów, jest faktem niestety aż bardzo dobrze znanym. Określa się go powszechnie jako upadek kobiety, a takie upadki zdarzają się często, sprowadzając niechybnie karę i pokutę. Grają tu wielką rolę instynkty nieuczciwe, chorobliwe popędy, nieraz chorobliwy brak wszelkiego etycznego poczucia, wreszcie wpływ nawskroś zepsutego, zgniłego otoczenia. I jakkolwiek upadek dziewcząt z lepszych rodzin jest rzeczą bardzo smutną, to jednak, wobec pewnego wykształcenia, jakie odebrały, wobec ich niezaprzeczonej znajomości, jeśli już nie złego i dobrego, to w każdym razie tego, co uchodzi za przyzwoite, uczucie litości zamiera, a pozostaje jedynie niesmak i pogarda.

Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi.

Inną jednak rzeczą jest, jeśli sprostytuowanem jest nieświadome, bezbronne, łatwowierne dziecko. A niestety, musimy stwierdzić, że policya wyłapała podczas ostatniej obławy kilka dziewcząt, które nie skończyły jeszcze lat dziesięciu, a już zawodowo uprawiają prostytucyę.

To już przechodzi wszelkie granice.

Dziewczątka te pochodzą przeważnie z warstw najuboższej ludności. Ten poziom moralny może być nizki, bo zrodzony przez obserwacyę otoczenia z natury rzeczy hołdującego najniższym instynktom. Mogą być bardzo zepsute, bo zepsutą jest krew ich, dzieci, matek i ojców zdeprawowanych pijaństwem, wyniszczonych chorobami. Są głodne nieraz a zawsze bez opieki. Rodzice, jeśli nie zmuszają ich wprost do prostytucyi, to nie przeszkadzają jej, nie zdają sobie nieraz sprawy z tego, że ona może dzieciom grozić. A te dzieci, mające, jak wszystkie inne, swoje dziecinne zachcianki i pokusy, nie zawsze są syte, nie zawsze dość mają suchego chleba. Demoralizacya ich dochodzi do tego stopnia, że nie wiedzą już zupełnie, co złe, a co dobre. Kiedy podczas przesłuchania komisarz policyi chciał przedstawić nieletniej grzesznicy całą ohydę życia tego rodzaju, maleńka odpowiedziała cynicznie, że nie rozumie, czego od niej chce, ona miała już stosunek z trzydziestu mężczyznami i nie widzi w tem nic nadzwyczajnego.

Kto winien?

Czy ta, która chleba nieraz pozbawiona, uległa występkowi dającemu jej możność kupienia sobie nawet — cukierków angielskich, czy ci, którzy wykorzystywali w ten sposób nędzę i ciemnotę.

Policya aresztuje ofiary występku, nie aresztuje zbrodniarza.

Zaiste, dziwne to wszystko i trudne do pojęcia.

Pewnie, należy się zająć małoletniemi grzesznicami, poddać je oględzinom lekarskim, postąpić z nimi surowo, ukarać je nawet, aby choć w ten sposób zrozumiały, że uprawiany przez nich proceder jest zły, bo jest karany, należy je oświecić, zaopiekować się niemi.

Z drugiej strony jednak powinno się bezwarunkowo dążyć do wyłapania tych ohydnych lowelasów, urągających wszelkim uczuciom humanitarnym i deprawującym życie ich w słabym zarodku.

Prawdą jest, że dziewczątko takie, raz ujrzawszy możność lekkiego i łatwego zysku czy zarobku, samo go szuka; ale nawet ten, kto z tego korzysta, winien jest na równi z uwodzicielem, uświęcając, że tak powiem, jego zbrodnię, czyniąc ją stanem chronicznym, pomagając do deprawacyi.

Ten pierwszy uwodziciel był łotrem, który wmówił w dziewczynę, że grzech nie jest grzechem, z chwilą, gdy daje zysk, a nikt o nim nie wie.

Jego 29 następców było dla uwiedzionej dowodami, że jej uwodziciel miał słuszność. Wobec tylu namacalnych dowodów nawet resztki czającego się gdzieś w głębi serca wstydu wydają się być przesądem i tąk deprawacya zapuszcza coraz głębiej swe korzenie, stając się pewnem prawidłem.

Do czego zdolny jest człowiek. który niema miłosierdzia dla istoty tak słabej, jak nędzne dziecko?

Czego może społeczeństwo spodziewać się od zwyrodniałego rozpustnika, uwodzącego dzieci i nadużywającego ich naiwności? Cóż może pożytecznego zrobić indywiduum, które dla chwili przewrotnej rozkoszy bez wahania burzy cały etyczny świat duszy dziecka, wydobywając z niej na wierzch wszystko złe, rozdmuchując w niej najniższe, najdziksze instynkty?

Mała dziewczynka powiedziała komisarzowi lwowskiej policyi, że takich mężczyzn znała trzydziestu.

A nie była ona sama... Otaczała ją garstka koleżanek...

Korespondencye.

Bochnia 10 września.

(Korespondencya własna.)

Miastu przybyła nowa „ozdoba“. Nowy gmach Kasy Oszczędności, jest dowodem magistrackiego smaku i magistrackiej estetyki. Budowany bez planu architektonicznego, ustrojony w cementarne urny, jest pomnikowym dowodem, że sfery decydujące w mieście nic spólnego z kulturą nie mają. Niechże się przypatrzą na takie n. p. Myślenice, na ich salę teatralną, ile inne miasteczko dla kultury i wyglądu estetycznego robi.

Kursują pogłoski o znacznem bankructwie pewnej tutejszej zegarmistrzowskiej firmy. Podobno bankrutujący kupiec, był również przedstawiony na kandydata do tytułu radcy cesarskiego.

Zmarł tu znany kapelmistrz Langer, którego pięknym pogrzebem uczczono. Ze śmiercią jego łączy się kwestya obsady nowego kapelmistrza muzyki salinarnej. Ponieważ przy żupie bocheńskiej takiej posady nie ma, a kapelmistrz piastował godność sztygara, pedanckie więc biurokratyczne sfery starają się skorzystać ze śmierci Langera i rozwiązać żupną muzykę. Niechże będą spokojne, opinia publiczna do tego nie dopuści.

Fiakrzy bocheńscy głośno się skarżą na surowe postępowanie inspektora policyi, Kopecznego. Widocznie przykład z góry tak usposabia p. inspektora.

Rzeszów 10 września.

(Z poza kulis wyborczych).

Każde wybory w naszem mieście przynoszą coraz to nowe przykłady, w jaki sposób i do jakiego stopnia potrafią pewni osobnicy karotować nie tylko mieszkańców, lecz nawet bardzo poważnych i zasłużonych radnych. Najlepszym dowodem tego są ostatnie wybory z łona Rady miejskiej do Rady powiatowej. Żeby jednak dobrze je zrozumieć, trzeba cofnąć się o kilka dni wstecz, kiedy znów panowie radni obsadzali rozmaitego rodzaju stolce burmistrzowskie, wiceburmistrzowskie i asesorskie. Wówczas to podczas głosowania kartkami na II. wiceprezydenta oddał radny Dobija, nadradca Dyrekcyi skarbu, głos nie, jak było z góry zapowiedzianem, na dra Hochfelda, lecz na dra Krausa, co umożliwiało jednogłośny wybór tego pierwszego. To podziałało piorunująco na tych osobników, bo jakżeż można być tak „czerwonym“ i nielojalnym, by nie oddać głosu na z góry oznaczonego; no i przysięgnięto zemstę.

Kiedy nadeszły wybory do Rady powiatowej rozwinięto na całej linii agitacyę i urządzono zarazem tak dziecinną zabawkę, o jakiej nawet autor operetki „Świat na opak“ nie pomyślał. I tak zadecydowano głosować na sekretarza magistratu Szaynowskiego, z góry wiedząc, że sekretarz magistratu nie może być delegowanym do Rady powiatowej. Urządzono więc widowisko nader pocieszne, które spowodowało, że p. Szaynowski otrzymał 19 głosów, a radny Dobija 15 głosów. Zastępca władzy politycznej, obecny z urzędu przy wyborach, unieważnił wybór p. Szaynowskiego i z urny wyszedł p. Dobija. Nie udał się więc w zupełności naszym „politykom“ ten dziecinny kawał, którego przeprowadzenie jedynie w Rzeszowie jest i było możliwe, lecz mają oni jeszcze nadzieję, że wobec podobnego wyniku głosowania r. Dobija zrzeknie się tego mandatu. My zaś musimy zauważyć, że byłoby to ze strony jego nieforfunnym krokiem, któryby dopiero wzbił w dumę i zarozumiałość jeszcze większą niektórych panów. Spodziewać się też należy, że r. Dobija przywiedzie sobie na pamięć znane przysłowie „wolno psu na Pana Boga szczekać“ — i będzie dalej pełnił w myśl swych przekonań powierzone mu mandaty dla dobra ogółu mieszkańców, a za-

razem nauczy go ostatnia szopka, by z podobnymi personami nie wchodzić w żadne pakty i kompromisy.

Przy tej sposobności trudno nie powstrzymać się od uwagi pod adresem kilku „opozycyjnych“ radnych, którzy we czwartek mieli sposobność pierwszy raz zjawić się na sali posiedzeń, by z miejsca zaznaczyć niezłomność i stałość swych zasad, w imię jakich weszli do Rady, i... głosowali jak jeden mąż, jak „góra“ kazała. Ładna opozycya — niema co mówić. Ale wyborcy będą pamiętali o nich przy pierwszej lepszej sposobności!

„Wszystko dobre, co się dobrze kończy“ powiedzieli sobie pp. Jabłoński (burmistrz) i Krogulski (kandydat na burmistrza!) kiedy na sali zabrał głos dr. Wachtel i postawił wniosek o przyznanie dr. Jabłońskiemu emerytury na wypadek, gdyby go wysadzono z siodła magistrackiego. Przedtem jeszcze wygłosił dr. Krogulski uroczystą mowę, w której podniósł zasługi dotychczasowego burmistrza około rozwoju miasta poniesione. Tak też skończyła się dobrze kampania dra Krogulskiego przeciw drowi Jabłońskiemu, kiedy ten pierwszy nie pozostawił przed laty kilku niespełna na burmistrzu suchej nitki, walcząc przeciw niemu bez przebierania w środkach. Bo też w każdym razie cel został osiągnięty, burmistrzem obrano dra Jabłońskiego poraz ostatni, dając mu należytą odprawę, a dr. Krogulski zasiędzie na czerwonych murach magistrackich, jako ten od dawna oczekiwany Mesyasz rzeszowski, któremu na imię wielki znak zapytania, jak słusznie wyraził się o nim jeden z radnych.

Oby tylko losy kapryśne nie spłatały nam jakiego figla. *L...ski.*

Miscellanea.

Operetka polityczna. — Po powrocie z Marienbadu. — Choleryczne przygotowania. — Dziennikarskie grzyby w Krakowie. — Wymierająca dynastya. — Współczesny Krezus w pieluchach.

W ubiegłym tygodniu rozpoczęły się w Krakowie trzy sezony: obu teatrów i magistratu. Sezon magistracki zaczął się niezwykle uroczyście przedstawieniem, utrzymanym w stylu narodowym i poważnym, a zatytułowanym „Zaprzysiężenie pana prezydenta“. Podobno syndyk miejski, dr. Bąkowski, obecnie powoli włażący na deski teatralne, otrzymał już polecenie udramatyzowania tej epokowej w dziejach chwili. Bohaterem nowej sztuki ma być jego wysokość dr. Leo, fatum rereprezentowane będzie przez namiestnika Bobrzyńskiego, muzykę ułożyli pp. konserwatyści. Orkiestrą dyrygować będzie p. Bandrowski, a wielki bęben oddany zostanie prof. Grabskiemu. Premiera odbędzie się za sześć lat, o ile jakie nadzwyczajności nie wpłyną na jej przyspieszenie. Treść sztuki symbolizować ma wpływ wielkiej polityki na politykę miejską wielkiego Krakowa.

* * *

Jak już przedtem doniósł nasz korespondent z Marienbadu, prezydent Leo wypłynął tam na czoło politykujących mężów i zażegnał niejedno wstrząśnienie polityczne, zaczęte w tym roku Europie. Nie należy zapoznawać znaczenia tego faktu. Wielkość prezydenta Lea wzrosła w stosunku odwrotnym do wielkości wielkiego Krakowa. A kto temu nie wierzył, ten powinien był we środę ubiegłą, w pamiętny dzień zaprzysiężenia pana prezydenta, stanąć murem przed Grand hotelem i patrzeć. Byłby zobaczył, że w dzień ten, jak tylko prezydent Leo powrócił z Marienbadu, zleciały się do Krakowa odrazu, jak te bociany, wszystkie „szpice“ naszej polityki. Więc byłby zobaczył tego wieczora i posła Głąbińskiego i prof. Grabskiego i posła Germana, Battaglię, Loewensteina i ks. Stojałowskiego i Stapińskiego i rozmaite wielkości. Przybycie ich na ten pamiętny dzień do Krakowa było najlepszym dowodem, jak znaczenie prezydenta Lea w ostatnich czasach wzrosło i spotężniało. Wyjątkiem miasto nie wydało na cześć tylu dostojnych gości bankietu, ale to dowodzi znowu, że i Kraków, odczuwając wartość i znaczenie swego naczelnika, czuje się obecnie tak dumnym, że dla mężów, nie mających tytułu conajmniej ministra, bankietów nie wydaje.

* * *

Cholera zbliża się do Krakowa! To fakt. Tak twierdzi dr Janiszewski i „Nowa Reforma“. Roma locuta — schluss! Najwięcej popłochu wywołała ta wiadomość w szerokich kołach krakowskich kamieczników i rzeźników. Onegdaj odbyło się „na Kotłowem“ posiedzenie cechu rzeźników. Uchwalono na niem podnieść cenę mięsa w Krakowie na wypadek wybuchu cholery jeszcze o 30 halerzy na klg. Motywa tej podwyżki są krótkie. Jeśli cholera wytłucze w Krakowie dajmy na to 5.000 ludzi, co wobec znanej działalności urzędu czyszczenia miasta i panujących w Krakowie, zwłaszcza — na Kaźmierzu porządków, jest możliwem, dochody rzeźników zmniejszą się z powodu braku konsumentów. A w takim razie zawczasu należy się zabezpieczyć. Z tych samych względów wychodząc, uchwalili kamienicznicy na wypadek cholery jeszcze popodwyższać czynsze. — Zaiste, to naprawdę iście „choleryczne“ przygotowania!

* * *

Zanim jednak jeszcze przyjdzie do nas cholera, nawiedzić ma Kraków inna, bodaj czy nie gorsza klęska. W październiku i listopadzie ma bowiem spaść na Kraków powódź gazetowa; w tych miesiącach wyrastać będą w Krakowie dzienniki wielkie i małe jak grzyby po deszczu. Powstać więc ma wielki dziennik narodowo-demokratyczny, wielki dziennik anti-narodowo-demokratyczny, wielki dziennik dra Staniszewskiego, mały dziennik pp. kamieniczników, jeszcze mniejszy dziennik cechu rzeźników p. t. „Pocieszyciel dla konsumentów“ i trzy dzienniki żydowskie. Gdy się to stanie, wybuchnięcie cholery w Krakowie jest pewne i nieuniknione.

* * *

Wkrótce już, jak wiadomo, ma się odbyć ślub księcia Wiktora Napoleona z księżniczką belgijską Klementyną, córką zmarłego przed rokiem króla Leopolda. Małżeństwo to, skojarzone podobno długą i wierną miłością — ma także ważne znaczenie i zadanie polityczne, a mianowicie ocalenie dynastyi Bonapartych od wymarcia. Pytanie tylko, czy zdoła ono spełnić to zadanie? Książę bowiem kończy już 48, księżna Klementyna 38 rok życia, a takie stadła nie zawsze cieszą się względami bociana. Książę Wiktor Napoleon ma wprawdzie młodszego brata, który dwa lata po nim ujrzał światło dzienne, księcia Ludwika, lecz ten potomek adwokata z Ajaccio jest podobno zawziętym wrogiem stanu małżeńskiego i stanowczo postanowił spędzić żywot wieczny w bezżeństwie. Są oni wnukami wesołego króla Westfalii Hieronima, którego lekkomyślność tyle kłopotu sprawiała wielkiemu Napoleonowi. Oprócz nich żyje już tylko jeden „prawdziwy“ Bonaparte — to znaczy: posiadający prawo do uważania się za członka tej dynastyi, mianowicie pięćdziesięciodwuletni dziś książę Roland Bonaparte, ostatni wnuk Lucyana, jedynego z braci Napoleona I., który nie posiadał tytułu królewskiego. Był on ożeniony z córką dzierżawcy szulerni w Monte Carlo Blancą, zmarłą przed kilkunastu laty.

Pozostawiła mu ona oprócz wielkiego majątku córkę jedynaczkę, dzisiejszą księżniczkę grecką Maryę. I książę Roland nie ma już zamiaru ponownie zakosztować rozkoszy małżeńskich, zatem cała przyszłość dynastyi Bonapartych spoczywa na pobrać się mającej dziś już wcale nie „młodej“ parze. Nadmienić tu jeszcze wypada, że książę Wiktor Napoleon jest obecnie głową tej zdetronizowanej dynastyi, a zarazem głową partyi bonapartystów we Francyi, która, jakkolwiek z biegiem lat bardzo już stopniała, nie traci jeszcze nadziei, że po trzeciej republice w niedługim już czasie nastąpi „trzecie Cesarstwo“ we Francyi. Czy także ks. Wiktor Napoleon żywi te nadzieje, nie wiadomo. Ci, którzy go bliżej znają, opowiadają, że nie odziedziczył on nic z geniuszu politycznego i wojennego swego stryjecznego pradziada ani z awanturniczego pseudogeniuszu swego wuja, Napoleona III — że lubi życie ciche, spokojne, bez blasku i walki.

* * *

Potomka innego rodzaju „dynastyi“ witała przed kilku dniami na dworcu Charing Bross w Londynie licznie zebrana publiczność i to z ogromną ciekawością. Ciekawość ta była tem bardziej niezwykła, ponieważ ów potomek liczy dopiero dwudziesty czwarty... m i e s i ą c życia, i nawet jeszcze porządnie mówić, a już tych objawów ciekawości, jakie wzbudza, absolutnie zrozumieć nie jest wstanie.

Posiada on atoli coś, co przyćmiewa dziś największą sławę, największe zasługi — a tem coś jest olbrzymi majątek, który nadaje mu tytuł „najbogatszego dziecka na kuli ziemskiej“. Majątek ten wynosi obecnie 700 milionów koron. a jest naprawdę wyłączną i zupełną własnością tego malca. Nazywa się on Wilson Walsch Mac Lean i jest wnukiem słynnego miliardera amerykańskiego Mac Leana, który w stanie Colorado posiada niewyczerpane kopalnie złota. Stary Mac Lean był wielkim przyjacielem i częstym gościem belgijskiego Leopolda II. i nieraz podobno koronowanemu temu kupcowi służył radą i wskazówkami, jak wyciskać złoto z czarnej ludności państwa Congo. Nie mając zaufania do spekulacyjnych zdolności swego syna, wyznaczył mu tylko kilkomilionową rentę, a część swego olbrzymiego majątku zapisał od razu wnukowi, gdy ten przed dwoma laty zjawił się na tym padole nędzy i płaczu. A ponieważ to samo uczynili rodzice młodej pani Mac Lean, ich pierworodny stał się odrazu najbogatszem dzieckiem na świecie. Krezusem nawet wobec wnuka Rockefellera, który „posiada“ dopiero 250 milionów koron.

I tego to miliardera w pieluszkach witała przed kilku dniami liczna publiczność na dworcu Charing Cross w Londynie, gdy gazety doniosły, że przybywa wraz z rodzicami spędzić jesień w Anglii. Malca niosła okazała australska niania w otoczeniu dworu najrozmaitszego rodzaju służby, składającego się z 25 osób. Za tym dworem dopiero postępowali rodzice malca. Przed dworcem czekał na niego olbrzymi automobil, urządzony jak pokój dziecięcy. Tam włożono małego miliardera do złotej kołyski, podarowanej mu czasu swego przez króla Leopolda — poczem cała ta kalwakada udała się do nabytego przez państwo Mac Lean pałacu.

Z większemi jeszcze środkami ostrożności mały ten pan wielkiej fortuny podróżował po Ameryce. Z obawy przed wykradzeniem go — umieszczono go w wagonie salonowym w wielkiej stalowej klatce, zamykanej na sztuczne zamki — którą otaczała armia detektywów. Taki to los rozmaitego rodzaju „dynastów“... *mig.*

KRONIKA.

Od Redakcyi. Zwracamy uwagę Szan. Czytelników, że listy do Redakcyi, książki przeznaczone do oceny, nie mogą być adresowane imiennie do poszczególnych redaktorów naszego dziennika, tylko do redakcyi „Gazety Poniedziałkowej“.

Bankiet na cześć nowozamianowanego kierownika ekspozytury filii wied. Banku Związkowego w Tarnowie p. Artura Eibenschütza i tegoż zastępcy p. Greifa odbył się w środę zeszłego tygodnia w salach Starego Teatru. Występujących z tutejszej filii i udających się na nowe zaszczytne stanowiska urzędników żegnał serdecznie w pięknie wygłoszonym toaście wiecedyrektor p. Schancer, Fromowicz i i.

Pana A. Eibenschütza, który w krótkim przeciągu czasu zyskał sobie ogólną symatyę, żegna wielkie grono przyjaciół z prawdziwym żalem.

Przeciw drożyźnie. Stowarzyszenie „Czytelni dla kobiet“ w Krakowie (Rynek l. 32) nadsyła nam następującą odezwę:

„Drożyzna w naszem mieście wzrasta z każdym dniem w zastraszający sposób, nie napotykając na żadne przeszkody ze strony powołanych ku temu organów miejskich i rządowych.

Ceny mięsa, wędlin i pieczywa doszły do niebywałej wysokości i wzrastać będą, nie widząc oporu ze strony powolnych konsumentów.

Nie zaradzą złemu szumne artykuły w dziennikach ani sprawozdania urzędów aprowizacyjnych lub targowych, podające posłusznie ceny, narzucone im przez handlarzy, jeżeli osobiście interesowani wspólnemi siłami nie zabiorą głosu w tej piekącej sprawie i nie podejmą walki z drożyzną".

Celem uchwalenia środków do radykalnego działania „Czytelnia kobiet" zwołuje zebranie w swym lokalu na dziś o godzinie 6-tej.

Nareszcie! Już w poprzednich numerach nawoływaliśmy do wystąpienia z jakąś energiczną akcyą przeciwko niesłychanemu wyzyskowi. „Czytelnia dla kobiet" wystąpiła z inicyatywą i wszyscy powinni poprzeć energiczną akcyę naszych pań.

Z teatru miejskiego. *„Kamienicznik", komedya w 4 aktach Klemensa Bąkowskiego.* Znany miłośnik starego Krakowa p. Klemens Bąkowski napisał przed rokiem uscenizowaną powiastkę z życia mieszczan krakowskich w XVII wieku p. t. „Opowieści imci pana Dymka". Te „Opowieści", bez dramatycznej akcyi, bez warunków do interpretacyi scenicznej wystawił dyr. Rygier w teatrze ludowym; rzecz na swojskich, lokalnych oparta motywach, przedstawiająca życie starego Krakowa, miała w sobie urok i wdzięk, miała, że tak powiem, zapaszek starego wina i dlatego zyskała 20 przedstawień. P. Bąkowskiemu powodzenie „Opowieści" zawróciło w głowie. Zdawało mu się, że jest już skończonym komedyopisarzem, siadł i napisał nową, współczesną już „komedyę". Zaniósł ją jednak już nie do ludowego, ale do miejskiego teatru, a że jest syndykiem miasta Krakowa, dyr. Solski czuł się w obowiązku ją wystawić. I wystawił, wyrządzając autorowi niedźwiedzią przysługę. „Kamienicznik" bowiem nie jest ani farsą, ani komedyą, bo niema prawie zgoła akcyi, ma tylko typy, pobrane z bruku, które artyści doskonale odtworzyli, np. typowego Gajera i ma — aż nazbyt pieprzne dowcipy.

Autor przedstawia w komedyi tej kłopoty „Kamienicznika" już starszego i jego miłosne perypetye, ale cała rzecz robi wrażenie dzieła zgoła nieopracowanego, napisanego pospiesznie, bez żadnej artystycznej miary. Cała ta komedya byłaby doskonałą na scenie ludowej i dziwimy się, że p. Bąkowski miał odwagę wystawić ją na scenie miejskiej.

W artykule „O teatrach krak." w dzisiejszym numerze sami domagamy się, aby dyrekcya teatru miejskiego uwzględniała więcej twórczość polską. Rzecz prosta jednak, że nie powinna wystawiać rzeczy, nie dla miejskiej sceny przeznaczonych. Dyrekcya powinna była p. Bąkowskiemu wytłómaczyć, że „Kamienicznik" nie jest dziełem sztuki, ale dobrą komedyą dla sceny ludowej.

Grano „Kamienicznika" na ogół dobrze. I dzięki temu tylko publiczność się bawiła. Śmiech rozlegał się na widowni często, ale odnieśliśmy wrażenie, że śmiano się i — z pretensyi autora owej „komedyi".

Franka.

Młodzież kupiecka protestuje za naszem pośrednictwem przeciw zarzutom, poczynionym jej przez jedno z pism krakowskich, jakoby się zachowywała wyzywająco i kokieteryjnie wobec pań, stających przed wystawami sklepów. Zarzut ten jest najzupełniej nieuzasadniony i niesłuszny. Musimy zaznaczyć od siebie, że młodzież kupiecka w Krakowie pod względem taktu i zachowania się wobec klienteli, może być wzorem dla młodzieży kupieckiej innych miast.

„Smichów" z Pragi contra „Wisła". Sobotni match rozegrany na boisku pozlotowem między „Smichowem" z Pragi, a krakowską „Wisłą" zakończył się klęską drugiej w stosunku 3 : 1. W niedzielę (dzień drugi) match zakończył się również przegraną tutejszej drużyny w stosunku 6 : 1.

Dwa samobójstwa. Wczoraj po południu przewiozła t. zw. „trupiarka" do zakładu medycyny sądowej zwłoki St. Koziera, robotnika zamieszkałego w Dębnikach, który z niewyjaśnionych dotychczas powodów powiesił się w mieszkaniu własnem.

Karolina Hułowska, robotnica zamieszkała na Czarnej Wsi, skoczyła wczoraj rano w nurty Wisły. Hułowskiej chciał pospieszyć z pomocą znajdujący się w pobliżu „ratownik" miejski, lecz z powodu silnego prądu wody i wirów nie mógł tego dokonać. Po kilku godzinach znaleziono zwłoki Hułowskiej w nadbrzeżnych zaroślach i odstawiono do zakładu medycyny sądowej.

Ze stacyi ratunkowej. Stacya ratunkowa przewiozła Stefana Szefczyka z Podgórzu L. 19 do szpitala Bonifratrów. Szewczyka własny brat nożem tak ciężko zranił w płuco, że mu ono w zupełności wyszło.

Wł. Samoleja napadł jakiś szewc i nożem przeciął mu wszystkie żyły na szyi.

Amalia W. na ul. Zielonej L. 10 otruła się grzybami. Po zastosowaniu odpowiednich środków, odwieziono ją do szpitala.

Wkońcu wzywano pogotowie do Anny K., która na ul. Batorego dostała silnego ataku histerycznego.

Kronika policyjna prócz kilku drobnych wypadków kradzieży, nie notuje nic ważnego.

Ankieta w sprawie nędzy żydowskiej została na życzenie kilku uczestników odroczona do czasu po sesyi sejmowej, gdyż w terminie oznaczonym, to jest 13 b. m. przypadłaby równocześnie z posiedzeniami sejmu, co uniemożliwiłoby członkom ankiety a posłom sejmowym udział w niej.

Odpowiedzi redakcyi. Mur. Prosimy koniecznie o porozumienie się. Nie poszło — z powodu braku miejsca.

TELEGRAMY.

Sejmowa reforma wyborcza.

Lwów, d. 11 września.

W sobotę przed południem rozpoczęły się obrady subkomitetu komisyi reformy wyborczej, które zagaił przewodniczący pos. dr. Leo. Przybyli: Głąbiński, Halban, Jaworski, Korol, Laskowski, Loewenstein, Makuch, Sobolewski, Stadnicki, Stapiński, Tertil, Urbański, Witos i Wodzicki.

Dyskutowano nad sprawą kuryi gmin wiejskich na podstawie projektu prawicy, poczem nad wnioskiem pos. Stapińskiego o podwyższenie liczby mandatów z kuryi gmin wiejskich, który to wniosek upadł.

Wniosek posła Loewensteina o podwyższenie ogólnej liczby mandatów do Sejmu, odroczono.

Na posiedzeniu popołudniowem dyskutowano nad postulatami poszczególnych klubów sejmowych. Uchwalono wniosek p. Stapińskiego, aby przewodniczący poszczególnych klubów przyszli na następne posiedzenie z ostateczną decyzyą swych klubów co do rozdziału mandatów.

Dalej przyjęto rezolucyę domagającą się, aby reforma wyborcza została w najbliższej sesyi definitywnie załatwiona.

Dyskutowano następnie nad sprawą, czy i o ile kurya większej własności ma być rozszerzona. Sprawę odroczono i na tem posiedzenie zamknięto.

Zwołanie Izby posłów.

Wiedeń. (Tel. wł.). W kołach parlamentarnych żywo omawiają **możliwość rozwiązania Izby posłów jeszcze w b. r.** Według zasięgniętych informacyi **parlament będzie zwołany najwcześniej** 8 względnie **17** listopada. Rząd motywuje późne zwołanie parlamentu tem, że sejmy w tym czasie obradować będą i że prace swoje ukończą dopiero z końcem października, poczem delegacye rozpoczynają swoje obrady.

W miarodajnych kołach utrzymuje się pogłoska, **że rząd nie wierzy w możliwość pracy Izby posłów,** liczy się z ewentualnością rozwiązania parlamentu i dlatego nie spieszy się z jego zwołaniem. Rząd starać się będzie o krótkie prowizoryum budżetowe, a gdyby rokowania nie doprowadziły do celu — parlament będzie rozwiązany.

Konferencye czesko-niemieckie.

Wiedeń, d. 11 września.

Konferencye bar. Bienertha z b. ministrem Zaczkiem i z innymi osobistościami nie doprowadziły do porozumienia, a dalsze konferencye premiera z przedstawicielami Czech, nie odbędą się.

Sejm czeski wobec dotychczasowego stanu rzeczy, prawdopodobnie nie będzie zwołany, gdyż Niemcy pod żadnym warunkiem nie odstąpią od *„iunctim"* między uchwaleniem podatków a uchwaleniem ustaw językowych.

Międzynarodowy zjazd dla wykształcenia kupieckiego.

Wiedeń. Wśród bardzo licznego udziału delegatów prawie ze wszystkich państw otwarto tu IX międzynarodowy zjazd dla wykształcenia kupieckiego. Otwarcia dokonał protektor arcyksiążę Leopold Salwator. Przemawiali następnie minister oświaty, handlu i burmistrz Neumayer. Prezydentem wybrano radcę dworu Gelcicha. Po południu odbyło się dla członków zjazdu przyjęcie w akademi handlowej. W zjeździe bierze udział ze Lwowa dyr. akademii handl. Pawłowski, z Krakowa dyr. Kannenberg i dr. Josefert.

Sprawa kanałów.

Berno. Stowarzyszenie regulacyi rzek zwołuje na 18 b. m. zgromadzenie do węgierskiego Hradyszcza celem zaprotestowania **przeciw niewykonaniu ustawy o budowie kanałów.** Rozesłano zaproszenia do wszystkich posłów z Moraw oraz do wszystkich urzędów publicznych i gmin na Morawach.

Rewizyta hr. Aerenthala we Włoszech.

Wiedeń. (Tel. wł.). Hr. Aerenthal odwiedzi ministra spraw zewn. San Giuliano jeszcze w bieżącym miesiącu we Włoszech. Spotkanie nastąpi nie w Rzymie, tylko w jednym z miast w północnych Włoszech.

Przeciw drożyźnie mięsa.

Salcburg. Wczoraj przed poł. odbyło się zwołane przez socyalnych demokratów zgromadzenie protestujące przeciw drożyźnie mięsa. W zgromadzeniu wzięło udział kilka tysięcy osób. Poseł Preussler wygłosił mowę, poczem przyjęto rezolucyę, żądającą otwarcia granic i zniżenia ceł na zboże. Po zgromadzeniu przeciągali uczestnicy ulicami miasta.

Zjazd katolicki.

Insbruk. Wczoraj przed południem obradowała sekcya zjazdu katolickiego nad organizacyą stanu chłopskiego. Pos. Fink podnosił konieczność gospodarczej organizacyi stanu chłopskiego i odparł zarzuty podnoszone przeciw agraryuszom z powodu drożyzny. Dalsza sekcya obradowała nad organizacyą stanu handlowego i przemysłowego.

Zagraniczni uczestnicy kongresu urządzili pochód, poczem odbyło się uroczyste posiedzenie zjazdu. Referował pos. Kuntschak o podniesieniu stanu robotniczego przez organizacyę na gruncie katolickim. Odczytano telegramy z podziękowaniem od papieża, cesarza i następcy tronu. Prezydent zamknął zjazd okrzykiem na cześć papieża, cesarza i następcy tronu.

Wieczorem odbył się komers katolickich studentów.

Demonstracya socyalistyczna.

Frankfurt nad Menem. Partya socyalno-demokratyczna urządziła wczoraj popołudniu w ogrodzie Tivoli masową demonstracyę, w której wzięli udział Jaures, Vandervelde, Kair Hardie i Gloeckl (Wiedeń), oraz **20.000 uczestników.** Wszyscy mowcy dodawali niemieckiej socyalnej demokracyi otuchy do walki przy zbliżających się wyborach do parlamentu.

Cholera we Włoszech.

Rzym. W ostatnich 24 godzinach stwierdzono w Apulii **4 świeże wypadki zasłabnięcia na cholerę i 5 wypadków śmierci.**

Król Piotr serbski w Rzymie.

Petersburg (Tel. wł.). „Nowoje Wremia" donosi, że król włoski Emanuel zaprosił króla Piotra wraz z następcą tronu Aleksandrem do Rzymu.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Karol Kozłowski.**

Druk W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, pod zarządem A. Nowaka.